

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

Nr. 5. Styczeń 1934. Rok. X.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY

ROK X. KRAKÓW, STYCZEŃ 1934. NR. 5.

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

Nieraz zastanawiałam się, dlaczego Nowy Rok jest chwilą tak wzruszającą, tak bardzo pobudzającą do myślenia, tak poruszającą głębsze, nieraz rzewne uczucia. Ostatecznie dzień, jak każdy inny, dzielący lata t. j. przez ludzi ustaloną i przyjętą miarę czasu. A jednak sugestji tego dnia, tego okresu trudno się oprzeć. Mimowoli w duszy naszej słyszymy wówczas dzwony tych dwóch wielkich słów; Początek i Koniec, Przeszłość i Przyszłość. I nie możemy się oprzeć wrażeniu, że stoimy na wyniosłej przełęczy, z której w te dwa wielkie oceany spoglądamy, że jesteśmy na jakiejś krawędzi czasu, na granicy dwóch rzeczy wielkich i tajemniczych; tego, co było i tego, co będzie...

Gdy głębiej nad tym Noworocznym sentymentem się zastanowimy, poznajemy rzecz dziwną; poznajemy, że ten moment jest jakby skondenzowaniem tego, co przeżywamy stale, każdego dnia i każdej godziny — tylko przeżywamy z mniejszą świadomością i w mniejszem uczuciowem napięciu. Bo czemżeż jest rzeczywistość naszego życia, jeśli nie ustawicznem przechodzeniem z przeszłości w przyszłość, czem teraźniejszość, jeśli nie tą wiecznie ruchomą granicą między czasem ubiegłym, a nadchodzącym, czem nasza praca, wysiłek, walka, trud jeśli nie ustawicznem przerabianiem materjału przeszłości na tworzywo przyszłości?

Tak więc, gdy u progu Nowego Roku z większą uwagą w sprawę tę patrzymy nasuwa nam to pytanie, jakżeż wielkie i doniosłe — jakim powinien być nasz stosunek do tych dwóch wielkich, tajemniczych mocy, wśród których oscyluje nasze życie, jakby wśród dwóch wielkich magnetycznych biegunów?

Już słyszę waszą odpowiedź, drogie czytelniczki, odpowiedź radosną i ufną, dźwięczącą waszym młodym zapałem: Przeszłość nas nie obchodzi, istnieje dla nas tylko przyszłość. Przyszłość będziemy budować. Śmieszną, nieudolną przeszłość przekreślamy.

Tak napewno myślicie i czujecie i inaczej być nie może. Ale zapał wasz przesłania wam pewne wielkie i doniosłe prawdy. Że tak jest wiem, bo dobrze pamiętam, jak myślałam i czułam będąc w waszym wieku.

Pozwólcie, że powtórzę wam jedną rozmowę z mojej młodości, rozmowę, którą miałam z człowiekiem wielkiego rozumu i wielkiego serca, rozmowę, która jak błyskawica otworzyła przedemną nowe, nieznane horyzonty. Zajmowałam się wówczas bardzo gorąco filozofją, chcąc dotrzeć do „prawdy". Przeczytawszy jakąś historję filozofji mówiłam o niej z tym mądrym i wielkim moim przewodnikiem po szlakach myśli i w zapale zawołałam: „Teraz widzę, że nic przyjmować nie można na kredyt t. zn. na podstawie tego, co myśleli i odkryli inni. Całą przeszłość muszę odrzucić, oprzeć się na niej nie wolno mi, każdą kwestję, każdą sprawę, muszę sama przestudjować, sama dla siebie odkryć, poznać. Tak tylko będę sobą, tak przyszłość będę mogła tworzyć".

„Boję się, że się mylisz moje dziecko — brzmiała odpowiedź. — To, co mówisz, wydaje się słuszne i dobre, ale zastanów się, jakby wyglądało w praktyce? Jeśli odrzucisz myśl, pracę odkrycia i zdobycze ludzi, którzy byli przed tobą, znajdziesz się nagle na nagiej pustyni. Zaczniesz w nad-

miernym a niepotrzebnym trudzie zdobywać i odkrywać to, co już zdobyte i odkryte. Życia ci nie starczy. A po największym mozole dojdziesz bardzo niedaleko. Odrzuciwszy przeszłość, nie zbudujesz przyszłości. Praca tak ludzi jak i narodów musi mieć pewną ciągłość. Tylko tak buduje się kulturę. Ludzie i społeczeństwa przekreślając to, co było, nie wychodzą z okresu pierwotnej dzikości. Jeśli się stale robi fundamenty, uznając poprzednie za złe, nie dojdzie się nigdy do dachu i wież. Istotą postępu, istotą kultury jest budowanie przyszłości na podwalinach przeszłości, to tylko jest pracą twórczą i kulturalną".

Słuchałam tych słów w milczeniu. Przed oczyma otwierały mi się prawdy nowe, rozsuwały jakieś zasłony, kryjące wielką i głęboką mądrość. I nie zapomniałam tej rozmowy nigdy.

Tak przyszłość, w której wyeliminowaliśmy przeszłość, byłaby uboga i jałowa. Przeszłość, którą uważałam dawniej za skład martwych zakurzonych rupieci, ukazała mi się nagle jako wielka życiotwórcza potęga, jako źródło sił nowych i wielkich. Ujrzałam w niej jakby wielki akumulator, nabity pracą, myślą, uczuciem ludzi, którzy „byli", którzy jak my rwali się do budowania przyszłości. Poczułam się ich myślą i pracą bogata, ich zapałem ogrzana. Poczułam się dumna całą pracą i twórczością pokoleń poprzednich, poczułam, że nie wolno mi tej przeszłości od siebie odrzucać, lecz przeciwnie w młode brać ręce, młodym ją rozgrzewać zapałem.

Bo chyba rozumiecie młode, w przyszłość zapatrzone czytelniczki, że nie doradzam wam hamować waszego zapału twórczego, waszego w przyszłość pędu, do przyszłości zaufania, że nie doradzam wam ograniczenia się do pielęgnowania „pamiątek przeszłości". Nic wstrętniejszego jak człowiek bojący się postawić śmiałego kroku w niepewną i nieznaną próżnię przyszłości. Rozumiecie, co wam mówię: Budujcie przyszłość, budujcie życia wasze, życie narodu, życie społeczeństwa; wyciągajcie pod niebo strzeliste wieże wyśnionej przyszłości, ale nie myślcie, że aby budować, trzeba naprzód burzyć. Gruz jest złym materjałem budowlanym. Ze skarbca przeszłości bierzcie zdrowe cegły, pięknie oszlifowane kamienie.

Ktoś bardzo trafnie powiedział, że tradycja, zdrowe rozumne nawiązanie naszego życia i pracy do pracy przeszłości nie polega nigdy na naśladowaniu tej przeszłości. To nie byłoby ani dobre ani wskazane. Tradycja, to tworzenie życia nowego, nowych wartości i dzieł bez odtrącania z pod nóg fundamentu przeszłości. Weźmy przykład konkretny, przykład z literatury: młodzi chętnie dziś mówią, że stara poezja jest nic nie warta, lubią prześmiewać się z Mickiewicza, Wyśpiańskiego, a piękno upatrywać tylko w poezji młodej i najmłodszej, w jej formach nowych i śmiałych. Starsi, przynajmniej wielu z nich, odpowiadają z oburzeniem, że cała nowa literatura jest nic nie warta, śmieszna, niezrozumiała, że tylko Mickiewicz i Wyspiański pisać umieli. Nie mają racji ani jedni ani drudzy. Mickiewicz i Wyspiański byli wielkimi, i na zawsze wielkimi pozostaną, odrzucanie ich jest odcięciem się od źródła największych, najszczytniejszych bogactw, a literatura nowa, młoda, jest ciekawa, jest też wielka i twórcza i nieuznawanie jej jest skazywaniem się na martwotę i zasklepienie. I tylko ten, kto potrafi objąć duchem i sercem jedną i drugą, zasługuje na miano wielkiego umysłu, tylko ten oddycha w pełni, oddycha obydwoma płucami, tylko tego skrzydła o przyszłość i przeszłość oparte do lotów podniebnych są zdolne.

I tak jest w każdej dziedzinie.

To też gdy z Noworocznej przełęczy Czasu w przeszłość i przyszłość spoglądamy, spoglądajmy obydwoma oczyma: w przeszłość z rozumnem uznaniem, z chęcią wzbogacenia się i nauczenia; w przyszłość z wiarą i ufnością, nie cofając się przed najśmielszemi marzeniami, przed najodważniejszemi przedsięwzięciami. Tak tylko budować będziemy i życia nasze i naszą kulturę i sztukę, tak budować będziemy, co najważniejsze, tak młodą, o tysiącletnią świetną tradycję wspartą, Państwowość Polską.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

NA NOWY ROK!

Zatrzasnęły się stare wrota,
Przekreślony wczorajszy znak.
Możliwości nieograniczonych
Przed nami otwarty szlak.

Jeszcze żadna nie splamiła go wina
Nawet myśli nie dotknął go bieg.
Przyszłość, co się od dzisiaj zaczyna,
Jest dziewicza, jak pierwszy śnieg.

Chwała Bogu, co króluje na niebie
Że dał stopom przestrzeń śmigłą
[jak wzrok,
Że dał naszym młodym siłom i wierze
Jeszcze jeden, niezaczęty Rok.

S. M. T.

Na Monsalwat

Droga na Monsalwat!
Szlak orłów i bohaterów!
to nie przechadzka po parku
aleją ciętych szpalerów...

Szlak to zawrotny,
i łatwo śmiałka pysznego uśmierca;
(najłatwiej iść po śladach,
po krwi z własnego serca).

A pnąc się wzwyż po głazach,
żmudnem, kamiennem zboczu,
ku kwitnącym dolinom
wstecz nie odwracaj oczu,

Byś się nie upił postępem,
spojrzawszy poza siebie,
i w przepaść pychy nie runął,
co tyle lotów grzebie!

Nie truj ducha wątpieniem
W jakiejś męczącej przywidzie,
Kto wciąż zaczyna — ten idzie,
Kto się nie cofa — idzie.

I nie jęcz: „oto upadłem"!
ale się dźwigaj śmiało;
bo to nie ducha pielgrzymka,
lecz niesiesz z sobą ciało.

Kto gnije na barłogu,
Ten nigdy nie upada, —
a blizna — nie jest zdrada,
jeno cofanie — zdrada.

Nie licz upadków, ni potknięć,
daremna to jest praca.
Zapatrz się na szczyt!
Ideał —
drogi ciemne wyzłaca;

W znużonej twojej piersi
zapali ogień boży,
na rany nakładzie maście
i młodych sił przysporzy.

Aż wreszcie staniesz na szczycie
strudzony a szczęśliwy,
okiem zwycięzcy mierząc
dalekie perspektywy.

Świętą czarę Graala
do piersi gdy przyciśniesz,
szary, skrwawiony Pielgrzymie,
nad gwiazdy Boże błyśniesz...

Jan Art.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

S. O. S.

„RATUJCIE DUSZE NASZE"!

(Ciąg dalszy)

Pierwszym ich czynem wspólnie dokonanym, a uwieńczonym pełnem powodzeniem, było „nakręcenie filmu". Sfabrykowawszy stampile, korespondencję i kwitarjusze nieistniejącej firmy, którą nazwali szumnie „Neofilmem", nabyli w sklepie komisowym szczątek aparatu do robienia zdjęć filmowych, wynajęli na dwa miesiące od znajomego auto i ruszyli na kresy wschodnie. Tam objeżdżali pilnie wszystkie dwory i dworki przedstawiając się wszędzie jako wysłannicy potężnego Neofilmu, która to nazwa jest tak znana, że bliższych objaśnień nie trzeba...

Gdy jednakże okazała się ona nieznaną gospodarstwu, zdumienie ich nie miało granic... — Państwo istotnie nie słyszeli jeszcze o Neofilmie? Doprawdy, zadziwiające! Neofilm! Największy koncern filmowy świata, zarazem przewrót w historji kinematografji, epokowy wynalazek, film trójwymiarowy, cała prasa zagraniczna tylko o nim pisze... A dla nas to tem ważniejsze, że autorem wynalazku jest rodowity Polak...

— Wstyd nam doprawdy... My tu tak żyjemy na uboczu.. tłumaczono się z zakłopotaniem.

W dalszym ciągu pomysłowi młodzieńcy objaśniali, że genialny wynalazca filmu trójwymiarowego chce rozpocząć swój triumfalny pochód przez świat propagandowym filmem polskim, poświęconym polskiemu rolnictwu wogóle, a kresowemu ziemiaństwu specjalnie. W filmie tym miały się znaleźć wszystkie wybitniejsze gospodarstwa, a więc szanownego pana w pierwszym rzędzie... Bo to u nas trwa przekonanie, że tylko to, co zagraniczne, jest coś warte i zapoznajemy siebie... a proszę mi wierzyć, że takiego n. p. folwarku jak ten, trudno po świecie znaleźć.. mówił Ilski tonem głębokiego przeświadczenia.

Podczas tego „nabijania gościa w butelkę", jak to między sobą w potocznej

Pierwsza defilada Janki

Późno dziś wraca ze szkoły Janka do domu, bo ich hufiec przysposobienia wojskowego, do którego, jako uczennica VI kl. należy, odbywał ostatnie próbne ćwiczenia na jutrzejszą defiladę.

Pomimo zmęczenia idzie szybko i mimowoli do taktu dzwoniącego wciąż jeszcze w uszach marszu:

»Komendancie, Komendancie miły wodzu nasz...«

»Miły wodzu nasz...« nuci sobie Janka i nadsłuchuje, jakby czekając na komendę: »wprawo patrz!« »wlewo zwrot« — Idzie czujnie, sprężyście i uśmiecha się do siebie: »jutro tak będzie na defiladzie.

— Dzwoni. — Otwiera jej Kasia, która czuje się w obowiązku napomknąć coś panience o spóźnionym obiedzie, ale Janka nie słucha.

— Kasiu moja kochana! wyczyść mi, wyprasuj i przygotuj na jutro moją bluzę, tę zieloną, — no wiesz, tę z wyłogami... ot tę!« — Janka prowadzi Kasię do szafy i przez chwilę robi przegląd hufcowego munduru.

— »Ależ panienko! buntuje się Kasia — to potem, teraz obiad«.

Janka odrabia lekcje, kręci się po całym domu, śpiewa, gra na fortepianie, ale robi to inaczej niż zwykle. Ruchy jej są jakieś inne. Czuje się żołnierzem z krwi i kości, omal

gwarze określali, Kobuz milcząc kręcił korbą swego pseudo aparatu. Zmrużonem okiem wyszukując najlepsze oświetlenia, najefektowniejsze punkty widzenia, filmował, filmował, filmował, dwór, ogród, zabudowania, pola, pana, panią, dzieci, służbę, domowników. Od aparatu nie odchodził ani na moment.

... — Mój kolega jest skończony oryginał, — objaśniał z uśmiechem Ilski, — ustawicznie drży o całość swego aparatu...

Tutaj spoważniał, dodając:

Coprawda nic w tem dziwnego, bo konkurencyjne firmy chcą wszelkiemi siłami zepsuć nam aparat lub wykraść jego tajemnicę... Dokonywano już na nas prawdziwych zamachów... Niektóre wprost nadzwyczajne! Opowiem później.

Gdy folwark i zachwyceni gospodarze byli sfilmowani ze wszech stron, gdy dano już nawet karty zaproszeniowe dające bezpłatny wstęp na premjerę filmu, i gdy toczyła się już przyjacielska pogawędka o polityce lub literaturze, — wychodził na jaw pewien mały szczegół: Kto pragnął zostać uwieńczonym w tymże filmie, czyje krowy, konie, nierogacizna, miały wzbudzać— w Londynie, New Yorku, Sydneyu, ten winien był złożyć na ręce wysłanników Neofilmu drobną kwotę na opłacenie kosztów... O, minimalną... Złoty od metra taśmy... A przecież pan dobrodziej nie może się zmieścić na mniej jak na trzystu metrach... Bo to i napisy, i ten widoczek na staw, który szkoda byłoby pominąć... Możemy skrócić do dwustu jeśli pan dobrodziej koniecznie sobie życzy, ale nie radzimy... Całość wiele na tem straci... A wszak to jedyna okazja i... w swoim rodzaju obowiązek społeczny... Propaganda!...

Naiwność i próżność ludzka są instrumentami, na których łatwo wygrywać, to też impreza Neofilmu powiodła się znakomicie. Wrócili do Warszawy obładowani pieniędzmi.

Łatwowierne ofiary czekały cierpliwie zawiadomienia o premierze Neofilmu, a tymczasem Kobuz i Ilski głowili się już nad czemś nowem. W następnych paru latach działalność ich była żywa i urozmaicona. Organizowali rzekomo dobroczynne loterje wygrywające rzekomo auta i domy, mieli biuro pośrednictwa pracy i biuro handlowe, oddawali na własność nieistniejące dziecko, obiecując płacić trzy tysiące miesięcznie do chwili jego pełnoletności, na razie jednak wymagali od tłumu zgłaszających się, pięciu złotych na ko-

---

że nie jakimś napoleońskim wiarusem. Czuje w sobie odwagę tak wielką, że iśćby mogła zdobywać szańce — i zapał, o i jaki jeszcze!

Patrzy przez okno.

W razie czego — myśli — wojsko nasze broniłoby tej ziemi, tych pól, tych gór... no oczywiście! Nie ruszyłabym się stąd i niechby spróbowali nieprzyjaciele mieć ochotę tu wojować. Mówił wprawdzie Zbyszek, brat 8-klasista, że oddziały żeńskie wzięłyby udział w bitwie w ostateczności i że zatrudnione byłyby tylko w obrębie państwa, ale i ta służba ma być bardzo niebezpieczna.

Radość wielka rozświetla nagle serce Janki. Nie będzie należeć do bronionych tylko, będzie sama bronić, walczyć, narażać się i może zginąć... Będzie służyć Polsce jak wszyscy obywatele — jak Zbyszek.

W pokoju ciemno już. Janka leży z głową wtuloną w poduszki i spod przymkniętych powiek patrzy



szta zebrania referencji o ich charakterze, i t. d. Wszystkie te „interesa były pomysłowe, zyskowne, i pachnące mocno kryminałem.

... — Nigdy nie złapią kogoś, co umie się mądrze wziąć do rzeczy... — mawiał Kobuz. Rzeczywistość zdawała się narazie potwierdzać jego słowa.

Lecz apetyty obu, szczególnie Kobuza rosły. Stosunkowo drobne sumki, wyłudzane przeważnie od biedoty, nie wystarczały.

— Dość tego, — rzekł pewnego dnia Kobuz. — Musimy nareszcie zdecydować się zagrać wielką grę i od jednego razu zebrać tyle, żeby nam starczyło na królewskie życie zagranicą przynajmniej na parę lat.

I oto wskutek tego postanowienia, mieszkali obecnie w ubogim domku, własności dawnej pani Wyrobkowej, obecnie księdza Michalaka i pracowali wytrwale. Jakże praca ta dokuczała już Ilskiemu! Jak u większości natur słabych, sumienie jego spało, dopóki nie potrzebował naturze swojej zadawać żadnego przymusu. Lecz gdy się skończyły objażdżki autem po dworach naiwnych kresowców, „ugadywania“ z klientami w zaimprowizowanem biurze lub w kawiarni, a trzeba było przysiąść fałdów i wziąć się do rzeczywistej pracy, obudziły się uśpione skrupuły. Czy warto było schodzić z prostej drogi, aby znów być zmuszonym pracować jak nie pracował nigdy w życiu? Do tego nie obfitował bynajmniej w pieniądze. Dokonywany przez Kobuza podział zarobków był jaskrawie nierówny, a rekryminacje Ilskiego na ten temat bezskuteczne.

A nadomiar wszystkiego ta historja z Kotą! Och, jakże miał jej już dosyć! Gdyby to od niego zależało, byłby oddawna zerwał tę uciążliwą znajomość. Niestety, Kobuz nie chciał o tem słyszeć.

— Wiem już na pamięć wszystko, co ta gęś może mi powiedzieć, na co ona nam potrzebna? — buntował się Ilski.

— Masz dzięki niej wstęp do banku, a przedewszystkiem taka właśnie, gdy się obrazi, może być bardzo niebezpieczna. Zacznie śledzić, podejrzywać, szpiegować... Najlepiej obmyślane plany zawalają się często przez podobne właśnie historje... musi być tobą nadal zachwycona i nie mieć żadnych podejrzeń.

— Do djabła! wściekał się szczęśliwy „narzeczony“.

---

jeszcze na rozwieszony na krześle przy łóżku swój mundur hufcowy. Metalowe ciemne guziki słabo w świetle księżyca migocą.

»Mundur generalski złotem zszywany«... snuje się Jance po sennej głowie.

Bitwa wielka, ogromna ma lada chwila wybuchnąć. Głos trąbki formuje oddziały.

Oto idą już, jeden, drugi, dziesiąty i setny... Zbyszek idzie z nimi, chorągiew nad nim trzepie się duża czerwona, a na niej orzeł biały; Jance serce ściska się:

»Zbyszek! brat mój jedyny!«

Oto i żeńskie hufce, jeden za drugim, sprawne, ciche a mocne takie, młode i zapalone.

Dużo ich, dużo!

Janka w pierwszych szeregach. Jak jej serce bije! — Niema żadnej komendy »w prawo patrz«! ale oczy same rwą się w tę stronę, gdzie na małem wzniesieniu stoi szara postać wodza naczelnego.

»Gdzie twój mundur generalski
»Wszak idziemy w bój
»Hej! Hej! Komendancie miły wodzu mój!

śpiewają młode, w rozstrzygający bój ofiarnie idące hufce.

Ostry dźwięk, jakby surmy bojowej... Janka otwiera oczy.

»Co to? — Budzik dzwoni! — A! to dzisiai moja pierwsza w życiu defilada!«

Biała k/Bielska. *M. Ryżewska.*

— Od ciebie zależy szybka likwidacja — ciągnął ironicznie Kobuz, — pośpiesz się, skończ prędzej, wyjedziemy i będziesz zwolniony z tego słodkiego obowiązku.

— Nie mogę szybciej pracować, widzisz i tak, że całe dnie nad tem ślęczę, — odpowiadał z niezadowoleniem Ilski.

I ponownie opadały go spóźnione, niewczesne refleksje. Praca, która go pochłaniała, była żmudną i wymagającą wielkich zdolności i wysiłku. Musiał przeprowadzić specjalne studja z zakresu chemji, mechaniki. Zawiłe obliczenia matematyczne. Ta sama suma wysiłku włożona w inne dzieło, czyż nie zapewniłaby mu uznania, ogólnego szacunku i przyszłości, może skromniejszej, ale niezależnej, bez, jakże dręczącej, opieki Kobuza? Cóż zatem zyskał? Co zarobił? Przepadło, — mówił sam sobie. Już nie nawrócę, nie mam możności nawrócić... (Jest zawsze możność nawrócić, ale dla człowieka z wolą). — Postawiłem życie na złą kartę. Trzeba przynajmniej starać się wyciągnąć z niej, co się da...

I z rezygnacją pogrążał się w pracy.

ROZDZIAŁ VI.

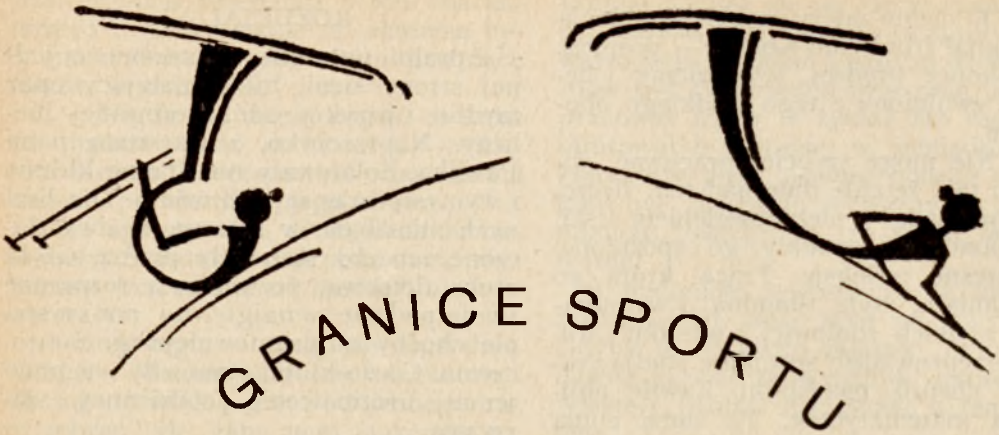
Z pralni położonej w suterenie z jednej strony sieni, bił nieustający opar mydlin i przykry odór gotowanej bielizny. Naprzeciwko, z warsztatu pana Pawlika, dolatywały nieustanne kłótnie i wymysły oraz zapach wódki. Dla licznych mieszkańców suteren, te dwa złączone zapachy stanowiły pewną zażyłą cechę domową, pozwalającą rozpoznać swoje pielesze w najgłębszą noc i w stanie choćby najgruntowniejszego zamroczenia. Co do kłótni stanowiły one przyjemne urozmaicenie codziennej szarzyzny.

Właścicielką pralni a zarazem mieszczącej ją izby była pani Kornelja Puchacz, zadzierżysta podwika, o niestrudzonych dłoniach i takimże języku. Patrzyła na świat ze zrozumiałą wyższością, uważając się za kapitalistkę. Pralnia dawała niezły dochód, prócz tego dwa kąty swej izby odnajmywała sublokatorom. Niewiele płaciła ta biedota, ale zawsze coś, miło jest przytem czuć zależność bliźnich od siebie.

c. d. n.

P. W. K. PRZY PRÓBNEJ PRACY.





Ożywiona dyskusja toczyła się w holu pierwszorzędnego Gimnazjum żeńskiego w Warszawie. — Uczennice 7-mej klasy po lekcji gimnastyki, zelektryzowane były artykułem „Granice sportu kobiecego“, umieszczonego w „Starcie“ z listopada.

— Widzisz Rysiu — odezwała się Zula triumfująco — jesteś kompletnie pobita w swej rekordomanji — weź i przeczytaj „Start“ uważany dotąd za pismo tak postępowe w dziedzinie sportu — jest przeciwne rekordom dla kobiet. Rysia trzymała omawiany numer „Startu“, w którym autor p. Wiktor Junosza mówił o zmianie stosunków społecznych w dobie dzisiejszej w których kobieta, wyrzucona z koła dawnych zajęć, staje do zawodu z mężczyzną w walce, a na to są jej niezbędne siły fizyczne, by sprostać nowym zadaniom.

Odżywa wsród kobiet dzisiejszych ideał helleński: być kobietą nietylko miłą, ale i mocną. Autor wyraża się: „Delikatność nie oznacza przecież bezsiły — a tężyzna nie wyklucza subtelności“. — Wywody autora dotąd odpowiadały w zupełności zapatrywaniom naszych panienek. Pewne zastrzeżenia miała tylko Inka, przedstawicielka nielicznej grupy koleżanek, których zamiłowaniem był dancing, ciepły i jasny salon, miękka otomana, atmosfera „Coeur de Jeanette”.

Ten typ zwiotczałej panny ze wzgardą i lękiem patrzącej na ekstrawagancję sportu, na narty i mroźne podmuchy wiatru, nie znoszącej treningów i wysiłków mięśni dla zdobycia P. O. S-u, bowiem uważają wyczyny sportowe jako szkodzące subtelności linji. W ich przekonaniu „moc” przystoi jedynie mężczyźnie — kobiecie wystarcza, gdy jest i pozostanie „miłą“. Oto granice ideałów Inki et Cie. — Znane były koleżankom te przestarzałe zapatrywania — nie liczono się z niemi. Ale zacięta dyskusja toczyła się głównie o kompletne deskredytowanie w artykule omawianej rekordomanji Rysi i jej adeptek. Do jej grupy należało około 20% klasy. Gdy były one jeszcze w klasie III, to większość szła za Rysią — marzyły o zawodach, o meczach i igrzyskach olimpijskich. Z biegiem lat szkodliwe skutki forsownego sportu dla kobiet niejedną doprowadziły do poważnej choroby i kalectwa.

Z dnia na dzień ten kierunek ma mniej zwolenniczek, a zatarcie cech kobiecości, mężczyznom nie odpowiada.

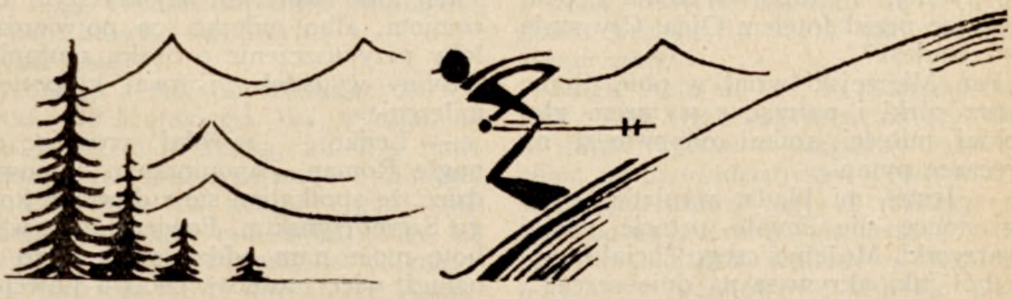
Odczytany przed chwilą artykuł nie potrafił Rysi zachwiać, zbyt była przywiązana każdym nerwem do rekordów lekkoatletycznych, by ją mogły oderwać od niej najlogiczniejsze wywody. — W niej pragnienie chwały i poklasków, było tak rozbudzone, że zdania najwybitniejszych ludzi nie zdołały oderwać jej od wysokich płotków... podniebnych rzutów dyskiem i szybkich biegów...

Ale czy ta partja sportsmenek oprze się logice artykułu. — Czy przepołowi się znów ta grupka znikoma, która w stosunku do kl. III tak bardzo zmalała?

Stroskana temi myślami, słuchała Rysia z bólem serca wywodów dalszych autora. „W walce o zdobycie mocy — niestety, kobiety przeholowały — zapominają, że męski organizm wytrzymuje krańcowe wysiłki tam, gdzie kobiecy załamuje się i niszczy". Przyznaje autor, że zmysł zawodnictwa posiada kobieta zarówno jak mężczyzna — ale u niej przejście z „zaprawy do zawodów“ jest tem największem niebezpieczeństwem, bo słaba jej kompleksja nie znosi rekordowego natężenia. — Kobieta nie może zrywać z kobiecością, a zatem nie może naśladować ślepo mężczyzny w sportach, bo jeśli rekordomanja jest zjawiskiem ujemnem, to u kobiety sport rekordowy może być wstrętny — to jest „contra naturam“.

Inka z Zulą naprzemian czytały głośno artykuł. Ta ostatnia nie posiadała się z radości. Ona ze swą partją, przerastającą 75% uczennic w całem gimnazjum, uważały zdobycie P. O. S-u, jako najdalej idącą granicę sportu. Żadna z nich nie marzyła o rekordach na szerokiej arenie wszechświatowej. — Kobieta opuszczająca rodzinę, by zagranicą lub w kraju tygodniami całemi sportować w zawodach lub treningach i stawiać sobie za cel sport dla sportu, była dla Zuli i zwartych szeregów zwolenniczek P. O. S-u czemś rzeczywiście, jak autor się wyraził, „contra naturam“.

Zula zatem poparta wywodami autora z całym zapałem potępiła dotychczasowe wywody Inki i Rysi. — U pierwszej widziała przesadne zapatrywanie, że kobiecie jedynie do twarzy w salach dancingowych i atmosferze wybujałych marzeń i tańców nowoczesnych, tak silnie działających na nerwy. — Ona była zwolenniczką tej tężyzny fizycznej, którą dają kobiecie sporty w miarę używane P. O. S. ma na celu kontrolę postępu — próby sił — rozmaitość pracy — Zula była zwolenniczką kierunku umiarkowanego, czyli sportu dla celów utylitaryzmu — a nie uznawała sportu dla sportu, jak głosiła Rysia.

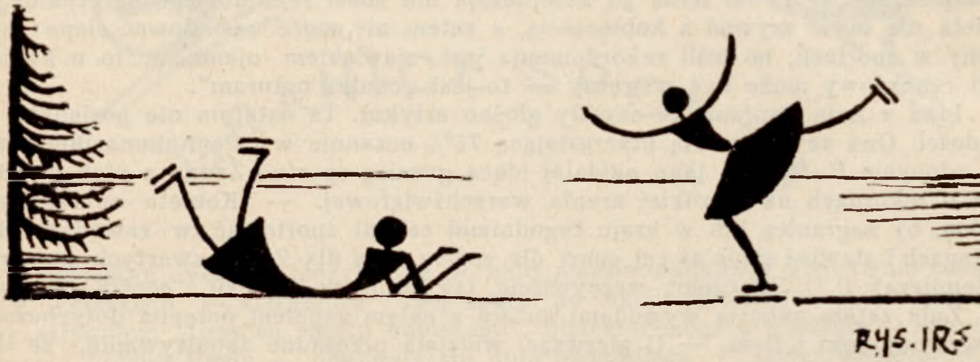


Zula z całem przekonaniem zbijała także wywody Rysi, dotyczące stroju sportowego i propagandy nagości, która rzekomo ma rozwiązać konsekwentnie zawiłe zagadnienia kostjumów sportowych. Zula rozumiała, że etyka, estetyka i higiena powinny zawsze stać na granicy sportu kobiecego. Dla niej najładniejszym strojem gimnastycznym był model szwedzkiego ćwiczebnego kostjumu ze spodniczką, używany już obecnie w wielu szkołach. Dlatego Zula miała pewne zastrzeżenia do nart, bo one wprowadzają u nas ten bardzo nieestetyczny strój męski. Ożywiona dyskusja zbliżała się ku końcowi. Trzeba było zejść do szatni i powracać do domu, gdy Inka zauważyła, że ciekawy artykuł, który wywołał tak ożywioną dyskusję należy przeczytać do końca. Co to była za radość dla dyskutujących, gdy się przekonały, że w tej zawiłej kwestji, gdzie są granice sportu, wypowiedział się Marszałek Piłsudski na zebraniu Rady naukowej wychowania Fizycznego.

„Pomyślałem sobie o tej biednej dziewczynie: ona nic już nie ma lepszego do roboty niż skakać przez płotki? — Ponieważ przygotowuje się do występów, musi więc

odpowiednio trenować, zmienić swój tryb życia — codziennie ją ważą, codziennie masują — i ona ciągle skacze przez te durne płotki. Jej celem jest tylko, aby jeden płotek za drugim przeskoczyć. I ona ciągle to robi. Przecież to może życie zbrzydzić! — Można unieść się w stratosferę sportu i uważać, że zadaniem życia jest wyciągnąć jeszcze minutę, jeszcze milimetr. Ale nie mogę się nie obawiać o tę dziewczynę w tak młodym wieku, gdy ją zrobiono znakomitą płotkarką i specem w płotkowaniu — Toż to koniec świata"!.

Z. Zawadzka.



UŚMIECH ŻYCIA

(Ciąg dalszy)

— Jestem Ojczulku — rzekła Lenka, klękając przed fotelem Ojca. Czy mnie potrzebujesz?

Pan Mierzejski wziął w obie dłonie twarz córki i patrząc z wyrazem głębokiej miłości szukał odpowiedzi na dręczące pytanie.

— Jesteś mi blada, wyglądasz jakby słońce nie śmiało ozłocić twojej twarzyczki. Możebyś czego chciała, może ból jaki ukrywasz na dnie serca?... Ale prawda, Ojciec, który tak długo zaniedbywał obowiązków ojcowskich, nie ma teraz prawa wglądać w duszę dziecka, — dodał głucho.

Ojczulku — zawołało dziewczę z akcentem cierpienia na widok zatroskanego oblicza starego człowieka. Jak możesz tak mówić. Czy wątpisz w moją miłość? — pytała.

— W miłość nie, ale w zaufanie — tak! Zaległa cisza, która dla tego człowieka przygnębionego poczuciem winy była wyrokiem, dla Leny chwilą ciężkiej walki. Czy mogła ranić mu serce, stając albo naprzekór najskrytszym marzeniom, albo milcząc, co potwierdzałoby przypuszczenie o braku zaufania? Drobny wypadek przerwał kłopotliwe milczenie.

— Lenko, — zawołał, zrywając się nagle Roman. Zapomniałem ci powiedzieć, że spotkałem się z dawnym kolegą Szczebrzyńskim. Powiedział, że w sobotę może nam oddać swoje auto na usługi, więc możebyś chciała pojechać do Morskiego Oka? No jak, pojedziemy? — Jeżeli masz chęć, to zejdę i zatelefonuję, bo Szczebrzyński prosił, by go zawiadomić.

Lena zgodziła się chętnie, temwięcej, że spacer w takiem towarzystwie mógł jej największą sprawić radość.

— Tak marzyłam, żeby zobaczyć Morskie Oko, ale — w waszem towarzystwie, wyrwało jej się szczerze.

— Lenko — zawołał Romek, patrz jak cudownie kona dzień.

Willa stała na wysokiem wzniesieniu, skąd widok z werandy był impo-

nujący; cała panorama Zakopanego słała się u jej stóp. A na straży jak rycerz — Giewont. Wierzchołek z krzyżem odcinał się zrębami, jak rzeźba na krwistej czerwieni do połowy schodzącego w ciemnię słońca. To pożegnanie światła z ziemią było wspaniałe; szczyt gorzał, a krzyż lśnił, jakby ze złota. Za chwilę wszystko zgasło...

20 sierpień.

Zaledwie 5 dni dzieli mnie od dnia, który zakończyłam pisaniem pamiętnika, a w nich zaszły takie nie przewidziane wypadki z tak niesłychaną szybkością, że nie mogę się jeszcze połapać. Ale muszę uporządkować ten kalejdoskop w głowie i pisać systematycznie.

Otóż przedewszystkiem — jestem zaręczona z Romkiem! Na czwartym palcu mojej ręki mieni się perła, otoczona brylantami. Ludzie mówią, że zły prognostyk — perła, zapowiedź łez... O tak, mam ich pełno pod powiekami, gorzkich, niewypłakanych. Duma moja, postanowienia, nawet potrzeby ofiary, wszystko życie zdeptało i rzuciło mi pod nogi. Wyobrażam sobie zdumienie, że pani dziecko stchórzyło...

Tak i nie!

Jednego z dni, poprzedzających wycieczkę do Morskiego Oka, wyszłam na dalszy spacer z nianią, ale coś mnie pchało do wcześniejszego powrotu. Spotkał mnie na progu Ojciec, tak zmieniony, jakby mu dwadzieścia lat przybyło. W ręku trzymał list od znajomego doktora, który donosił, że Mamusia, po tylu latach dostała znów ataku rozstroju nerwowego i to na jakim punkcie? Na tle mojego małżeństwa z Romkiem!

Miała podobno jakiś nieprawdopodobny sen, ukazała jej się Matka Romka, grożąc za niedotrzymanie przyrzeczeń...

Struchlałam i zimny pot wystąpił mi na czoło... Ojciec był bardzo przybity, wyrzucał sobie nasz wyjazd, ale najgorsze, że postanowił rozmówić się z Romkiem i poraz pierwszy odsłonić przed nim przeszłość.

Ta perspektywa wprost mnie przeraziła, ale czułam, że wobec takiej grozy i powikłania faktów, moje osobiste bóle muszą zejść na plan drugi.

Podróż do Morskiego Oka odbyła się w niezwykłym nastroju.

Patrzyłam na migające widoki przez łzy...

W schronisku, Ojciec zmęczony został, by nam przygotować śniadanie, Romek zaproponował spacer nad Morskie Oko. Zgodziłam się biernie, czując jednocześnie, że ten spacer rozstrzygnie o naszej przyszłości, ale ani cienia szczęścia we mnie nie było, bo przyjmowanie oświadczyn od Romka w takich warunkach, to wielkie dla mnie upokorzenie.

Wiedziałam, i czułam dobrze, że ofiara Romka była jednocześnie spłacaniem jego długu wdzięczności względem rodziców.

Stanęliśmy impulsywnie, opierając się o balustradę mostu wprost Morskiego Oka. Mgła była tak gęsta, że sami wyglądaliśmy jak cienie. Niebo, ziemia i woda, wszystko zlewało się w jeden chaos bezbarwny; było tak nieprzejrzanie szaro...

Nagle stało się coś, co możnaby nazwać chyba tylko kaprysem natury; Oto w górze raptownie jakgdyby ktoś ruchem nieprzewidzianym i gwałtownym szarpnął, rozdarł mgły i rozsunął na dwie połowy. Zrobiło się jasno. U stóp naszych zacisznie wtulone w ramiona potężnych szczytów — Morskie Oko, prawdziwe „oko", przelewało leniwie swe drobne, stalowej barwy, fale. Zbocza poprzerzynane gzygzakowato białemi wstęgami wiecznych śniegów, lśniły srebrem, wydłużając się aż do ciemnych tafli jeziora. Na niższych stokach rosły kosodrzewiny, gdzieniegdzie limba, rozłożyste świerki i zwykłe sosny.

Za chwilę ta sama czarodziejska ręka znów zasunęła welony mgieł, kryjąc zazdrośnie cudny widok stawu.

Właśnie w tym momencie walki ciemności ze światłem, padły słowa decydujące. Romek z prostotą, powo-

łując się na życzenie rodziców, poprosił mnie o rękę. Nie widziałam jego twarzy w tej szarzyźnie. Mówił bez entuzjazmu, że pragnie mego szczęścia i wszystko w tym kierunku zrobi z siebie.

Odpowiedziałam mu, że na razie, wobec splotu tragicznych wypadków, i załamania się psychicznego matki, zgadzam się na oficjalne zaręczyny. Powiedziałam z naciskiem „na razie", ale Romek tego nie zauważył, bo był bardzo wzruszony.

Wyjechaliśmy nazajutrz, gdyż niepokój o Mamusię nie pozwolił myśleć ani o rozrywkach, ani nawet o mojej kuracji.

Wiadomość o naszych zaręczynach przyjęła Mamusia radośnie. —

Przez kilka dni nie widziałam Zochny; instynktownie bałam się tego spotkania... Ułatwiła wybrnięcie z tej sytuacji ona sama, przyszła pierwsza. Zmieniona, dziwnie poważna i skupiona w sobie. Może subtelnie odczuwając trudność z mej strony mówienia o zaszłych zmianach, — sama uprzedziła to, mówiąc, że wie o wszystkiem. Rozmowa niebardzo się kleiła i Zosia pożegnała mnie wkrótce...

Romek przebywał ze mną często. Był jak zwykle serdeczny, troskliwy, ale inny. Rozmawialiśmy o różnych kwestjach społecznych i naukowych, ale o przyszłości — nigdy. O Zosi także nigdy ani wzmianki między nami nie było, listy, ale to nie zastąpi żywych słów. Jedno zdanie z ostatniego listu pani dało mi dużo do myślenia. Pisze Pani, trzeba się otrząsnąć z przygnębienia i żyć bardziej realnie, trzeba się zająć jakąś pracą...

25 sierpień.

Matuchno, znów cios uderzył w moje serce. Szkarlatyna w mieście! Fatalizm łączy mnie z tą chorobą. Kiedyś, gdy byłam jeszcze tylko w idei Opatrzności ta choroba zabrała mi małego braciszka. Jego śmierć była przyczyną mojego skrzywionego dzieciństwa, a potem... Wszak to Romek zastępował jego puste miejsce w naszym domu. Gdyby nie śmierć tamtego... może nie byłabym poznała Romka i:... Nie, — nie — nie chcę o tem myśleć!

Oto Zochna zachorowała ciężko na szkarlatynę i była bez żadnej opieki. Ta wiadomość uderzyła we mnie jak grom!

Gdyby nie wypadki ostatnich dni, i nie miłość tych dwojga, co się zapaliła, jak iskra i wnet zgasnąć miała, stłumiona ręką losu. Gdyby nie ta miłość, — jakże inaczej znosiłabym ten cios. Ale może właśnie dlatego, właśnie za tę obojętność i chłód serca sumienie karało mnie, wymagając czegoś, co byłoby tylko spełnieniem obowiązku, ale do pewnego stopnia i... heroizmem. Zlękłam się samej siebie, bo tam z dna serca mego podnosiła się nieśmiała obrona, coś w rodzaju wstawienie się za tę chorą nieszczęsną sierotą...

Czy była winna za to, że kocha? Czy to uczucie zrobiło ją gorszą? czy — widząc we mnie szczęśliwą rywalkę nie miała prawa raczej nienawidzieć — niż kochać, a ona kochała mnie wszakże... — tak mi ciężko od tych zmagań wewnętrznych. Czy dawniej zadowolniłabym się przyjęciem obojętnie takiej wiadomości o Zosi? Czemże zatem jest przyjaźń?

c. d. n.

P R A W D A

W pośród kłamstw ludzkich, ludzkiej blagi
Żyje idea prawdy nagiej
Ludzie się ku niej rwą i giną
By ujrzeć serce jej z bursztynu.
Nad światem idą, idą wieki
Wpatrzone w profil jej daleki
I mrą bezsilne o wieczorze,
Bo nikt odczytać jej nie może.

W pomroce dziejów o jej drogi
Gwiazd się radziły astrologi.
W szkłach zatart, w pyle, w łzach kaplicy,
W jęku pławionej czarownicy
Zazdrosne o nią serce człecze
Szukało długie średniowiecze.
Filozofowie wstali tłumem,
By zdobyć imię jej rozumem,
lecz się cofnęli z głuchem drżeniem
w pył rozłożeni jej spojrzeniem.

Próżno się męczą człecze serca
I próżno umysł świat przewierca,
Jak w pierwsze wielkie wichrów rano —
Prawdy do dziś nie odczytano.

A przecież dziwnym wciąż sposobem
Jej czar nad ziemskim ciąży globem;
Z zasłony zjawisk, tajemnicze
Prześwietla wszędzie jej oblicze;
Głębie wód ciemnych, powój biały
bają, że w oczy jej patrzały
Dziecko błyszczące łzą z pod powiek
Jest prawdy bliższe tej... niż człowiek.

Lecz ludzie o niej nic nie wiedzą,
Choć z nią na jednej ziemi siedzą,
Chociaż przez życie z niemi kroczy,
Choć im się patrzy prosto w oczy,
Choć jedną z niemi idzie drogą
I chociaż bez niej... żyć nie mogą.

Bo człowiek, taki jest cielesny,
Taki naiwny, tak bolesny,
Że dłoń, co drżąc jak serce marzy,
Chciałby przesunąć po jej twarzy
I niecierpliwie rąk jej chwytać,
I o swój własny los ją pytać.

A ona... wielka, jasna, święta
Duchowa jest i nieobjęta.
Jej czysty profil idealny
Nadludzki jest, niedotykany.
Wyciągający po nią ręce
Tylko jej marę gonią w męce.

Kto chce bezsłowną pojąć mowę,
Musi pochylić przed nią głowę,
Kto chce słodyczą jej się upić,
Musi się najpierw w sobie skupić
Musi się zdobyć — prosto z mostu —
Aby zaufać jej poprostu.

A gdy się człowiek tak przemoże
I spojrzy prosto w oczy Boże,
To w jednem krótkiem okamgnieniu
Ujrzy świat prawdy w tem spojrzeniu.

Pagórki mu się wkrąg poniżą,
Gościńce mu się wkrąg uładzą
I ujrzy, (o czem nic nie wiedział)
Że wszystkie... do niej go prowadzą.
Świat cały tak mu się uprości
Jak dziecku, które bez zdziwienia
Patrzy w zawrotny szlak wieczności,
W głąb niezbadaną przeznaczenia.

Łatwość zaskoczy go poznania,
Gdy znajdzie nagle bez szukania
W milczącym własnej duszy hymnie
Nieodczytane Prawdy imię.

S. M. T.

U ROZSTAJNYCH DRÓG

Dopiero rozpoczął się rok szkolny, tak niedawno, a przecież już minęło półrocze. Czas szybko mija, nie zorjentujemy się nawet, kiedy staniemy przed końcem roku. Dla wielu będzie ten koniec roku, końcem studjów średnich. — Jeszcze skupienie woli i wytężenie do ostatniego wysiłku i w ręku zabłyśnie świadectwo dojrzałości.

Jest to chwila przełomowa w życiu człowieka. Zamyka się pewien okres i otwiera się nowa, nieznana droga... Na niejedne usta po krótkim wypoczynku, wybiega pytanie: — ,,Dobrze, mam maturę, ale co dalej?" Po namyśle część tej młodzieży postanawia dalej się uczyć, oczywiście szczytem marzeń jest tutaj uniwersytet... Tytuł studentki wzgl. studenta uniwersytetu taki ponętny... zaspakaja wysokie aspiracje... Więc nie wiele się namyślając, zapisuje się owa młodzież na uniwersytet... ale teraz jeszcze jeden kłopot: ,,jaki też wybrać sobie wydział? Polonistyka piękna nęci, matematyka też ładna, a prawo jakie wspaniałe, a medycyna istne cuda. Głowi się biedactwo, aż ostatecznym doradcą staje się pedel uniwersytetu, zacny zresztą człowiek, ale czy istotnie powołany do oceniania kwalifikacyj, zdolności i zamiłowań młodzieży?...

Jakież są rezultaty takiej decyzji? Po roku prawa idzie się na rok historji, by w trzecim roku studjować farmację. — Smutne, ale prawdziwe.

By za kilka miesięcy nie stanąć przed taką alternatywą, dobrze będzie już dzisiaj poważnie się zastanowić, jaką drogą pójdziemy po zdobyciu matury?

Przed młodzieżą pragnącą dalszych studjów, stoi prócz uniwersytetu jeszcze cały szereg szkół wyższych specjalnych, przygotowujących do poszczególnych zawodów tak wiedzą teoretyczną, jak i praktyczną.

Zupełnie niesłusznie szkoły specjalne traktuje się z pewnym odcieniem niższości, są to tylko przesądy. Szkoły specjalne przygotowując jednostki do życia, dają im również odpowiedni zasób wiedzy teoretycznej, potrzebnej dla inteligentnego człowieka, stojącego na wyższym poziomie. To też przyznając w pełni wielkie, nieocenione znaczenie uniwersytetom, chcemy zwrócić młodzieży uwagę i na szkoły specjalne, spełniające świetnie swe zadania. — W tym celu w szeregu artykułów zapoznawać będziemy kochaną młodzież z życiem różnych wyższych szkół specjalnych, by, gdy stanie u rozstajnych dróg, wiedziała w którym kierunku udać się należy, zgodnie z własnemi zamiłowaniami, uzdolnieniami, by stać się jak najpożyteczniejszym członkiem społeczeństwa.

Jako pierwszą z wyższych szkół specjalnych omówimy katolicką szkołę społeczną w Poznaniu.

Szkoła ta bierze na siebie zadanie, wychowania społeczeństwu pełnowartościowe jednostki, wykwalifikowane i przygotowane do pracy społecznej. — Praca społeczna to jedna z najpiękniejszych, ale i najodpowiedzialniejszych prac — to też przygotować do niej trzeba przedewszystkiem człowieka, a następnie pracownika. Szkoła więc przy kwalifikacjach słuchaczy nietylko ocenia zdolności i postępy naukowe, ale bardzo wysoko stawia wartości moralne, społeczne słuchaczy. Brak choćby częściowy tych wartości, wyklucza jednostkę z grona słuchaczy szkoły.

Do pracy społecznej trzeba się już urodzić, wymaga ona bowiem dużego zamiłowania i poświęcenia, którego nie zastąpi najlepsza wola.

Studja w katolickiej szkole społecznej trwają 2 i pół roku, obejmując w tem pół roku przymusowej praktyki w instytucjach społecznych. Szkoła społeczna posiada dwa wydziały: oświatowy i charytatywny. Oświatowy przygotowuje pracowników dla instytucyj oświaty pozaszkolnej i organizacyj oświatowych, wychowawczych, a wydział charytatywny przygotowuje jednostki do pracy w instytucjach charytatywnych.

Program studjów jest wysoki, podstawą to: socjologja, psychologja, nauki społeczne, pedagogika, prawo, ekonomja, publicystyka, dogmatyka, etyka i t. d.

System nauki jest w formie wykładów, seminarji, kwartalnych kolokwiów i rocznych egzaminów, a więc jak uniwersytecki.

Szkoła jest koedukacyjną, panowie i panie posiadający maturę, mogą się zapisywać, oczywiście znaczna większość pań zapisuje się do szkoły, gdyż praca społeczna ogromnie odpowiada psychice kobiecej i jest jednym z idealnych zawodów kobiecych.

Zawodowy pracownik społeczny jest jeszcze mało znany, ale konieczność szkolenia ich jest coraz silniejszą, masy całe pracy społecznej leżą jeszcze odłogiem, a pchnąć je naprzód mogą tylko wykwalifikowane i przygotowane do zadań jednostki.

W kątolickiej szkole społecznej panują bardzo miłe stosunki. Przedewszystkiem już sama postać Ks. Dyrektora Dr. Kozłowskiego, wielkiego miłośnika młodzieży, wnosi miłą atmosferę. Między dobranemi siłami profesorskiemi, a gronem słuchaczy wytwarza się serdeczny kontakt, także współżycie słuchaczy i samopomoc są silnie rozwinięte.

Wielka bibljoteka dostarcza słuchaczom dużo materjałów do pracy. Niezapomniane wspomnienia wynoszą słuchacze z rekolekcyj zamkniętych, które się odbywają raz na rok. Wielkie korzyści też dają słuchaczom wizytacje instytucyj społecznych na terenie Poznania i Warszawy.

Wygodny, higjeniczny lokal Katol. Szk. Społ. oraz Sekretarjat mieści się w Poznaniu przy ul. Podgórnej 12 b.

Katolicka szkoła społeczna jest jedyną w swoim rodzaju w Polsce, to też spotykamy tam młodzież ze wszystkich naszych ziem, a także z krajów sąsiednich np. Jugosławji. — Oto piękna droga otwarta dla młodzieży z maturami w ręku. Droga trudna, mozolna, ale dająca bardzo wiele wewn. zadowolenia i niosąca wiele dobra społeczeństwu.

M. Marcinkowska, była słuchaczka.

DROGA PRZEZ ŻYCIE

jest to druga reprodukcja umieszczona w „Dziś i Jutro" młodej, utalentowanej uczennicy Szkoły malarskiej prof. Terleckiego w Krakowie, p. Jachimczakówny.

Uderza w jej szkicach symbolika i wczucie się w to, co życie ze sobą niesie. Droga życia cierniami usłana. Wszystkie trzy postacie obciążone ciężarami ponad siły ludzkie — jedna, dziecko jeszcze, już legła w pochodzie. Druga błagalny wzrok wznosi, by jej dopomóc — trzecia, skupiona w sobie, wytęża się w nadludzkim wysiłku...

Widz czuje się porwany



do czynnej pomocy, serce — wzbiera współczuciem... Zastanawia się sam nad sobą, jak on dźwiga swój ciężar życia — zapytuje sam siebie w ciszy refleksji, czy dopomógł kiedy innym w dźwiganiu brzemienia żywota, czy cierń przydrożny usunął z drogi człowieczej — czy dziś miłość bliźniego nie żąda odeń czynnej ofiarnej, skutecznej pomocy?

Życzymy młodej malarce, by sztuka jej rozwijała się w kierunku utylitaryzmu — a zdziała nią nie mniej dobrego w ludzkości, jak nauczyciel lub kaznodzieja.

Ogród w zimie

Cisza stąpa po ścieżkach czerniejących w śniegu,
przez drzew palce przesiewa złoty czar księżyca.
Cyt. Czy widzisz? Nic nie mów. Drogę mi zabiega
Tajemnica.

Patrz. Tutaj śmieszne chochoły, jak wiersze — niezgrabne
wiodą z gwiazdami długie, srebrne rozhowory.
usiądź i posłuchajmy, a trafi się snadnie
jakiś morał.





Sypiąc natchnienie płatków, świerki się kołyszą
drzewa ogromnie dobre ze wszystkich najszczersze
są mi życzliwe — wiedzą, że o nich napiszę
wiersze.

Żal mi oczy przesłania, jak mgła sine smreki
po górach niewidzialnych cień się jakiś błąka,
cień drżący, niewyraźny, bliski — i daleki —
Rozłąka!

Ł U Ż Y C E

Łużyce, to prastara ziemia słowiańska, najdalej na zachód wysunięta, wydana na pastwę germanizacji od zarania dziejów. Lecz mimo wysiłków ze strony Niemiec, naród żyje i czeka pomocy przedewszystkiem od nas Polaków, wolnych i niepodległych od 15 lat, mogących działać dla dobra bratniego narodu.

Górno-Łużyczan. Na skutek natarczywej germanizacji obszar etnograficzny Łużyc bardzo się skurczył. Wynosi on obecnie 100 km. wzdłuż od północy ku południowi i 60 km. w szerz. Od zarania dziejów napotykamy nad Łabą Łużyczan wraz z innemi szczepami słowiańskiemi. Niemcy zaprzeczają odwiecznej przynależności tej



ziemi do Słowian, ale nazwy topograficzne dostatecznie odpierają pretensję niemieckie i dają Łużyczanom wszelkie prawa do ziemi. Łużyczanie są tylko resztą Słowian Połabskich, dziś już wymarłych i zgermanizowanych. Wewnętrzne tarcia i niezgody Łużyczan dochodzące niekiedy do zdrady własnego narodu i łączenia się z Niemcami, ułatwiały znacznie napór Niemców, gotując sobie upadek. Zanim rozpatrzyli się Łużyczanie we wrogich zasadzkach Niemców, ci już sparaliżowali skuteczną działalność narodu Łużyckiego.

Przed pierwszym najazdem germańskim poprzedzającym panowanie Karola W., Łużyczanie żyli na wolności. Poczynają ją

Łużyce dzielą się na Górne-Łużyce i na Dolne-Łużyce. Południową granicę Łużyc tworzą Góry Łużyckie. Teren Górnych Łużyc przedstawia krajobraz górzysty i bardzo urozmaicony. Ciemne, szumiące lasy i złoto-zielone pasma łąk, pokrywające góry, przypominają Zachodni Beskid Karpat. Z gór Łużyckich wypływa Sprewa, która na obszarze Łużyc Dolnych rozlewa się na kilkaset ramion tworząc tak zw. Błota, czyli Żuławy Sprewy, na południe od Berlina. Dolne Łużyce tworzą równinę, którą pokrywają sosnowe lasy t. zw. Hola. Melancholja lasów udziela się ich mieszkańcom. To też różnią się oni zasadniczo od wesołych i pełnych werwy życiowej

tracić wraz z wprowadzeniem chrześcijaństwa. — W roku 965 cesarz zakłada biskupstwo miśnieńskie. Bolesław Chrobry wraca im jeszcze wolność przyłączając ich do swego państwa, pokojem Budziszyńskim w 1018 r. Do doby dzisiejszej przetrwała wśród Łużyczan pieśń sławiąca Chrobrego, jako wybawiciela ich z rąk Germanów. Po śmierci Chrobrego, Łużyce dostają się do rąk niemieckich bądź czeskich i coraz bardziej się germanizują, nawet pod panowaniem czeskiem, gdyż w samych Czechach był zbyt silny wpływ niemiecki. Łużyczan nie dopuszczano do cechów rzemieślniczych, wzbraniano osiedlać się w miastach, zabraniano używać ojczystego języka, obwarowując nawet w niektórych miastach ten zakaz grozą kary śmierci. Z faktem tym łączy się historja Polski. Mianowicie w XIII w. po napadzie Tatarów, sprowadzono do miast polskich dużo kolonistów niemieckich. Zachodzi przypuszczenie, że byli to częściowo Łużyczanie, którzy uciskani przez Niemców schronili się do Polski, a jako element słowiański, łatwo się asymilowali.

W XVIII wieku historja Łużyc jeszcze raz łączy się z historją Polski. Hugo Kołłątaj, twórca Konstytucji 3 Maja, przeprowadza projekt wyboru księcia saskiego na przyszłego króla Polski. Łużyce w tym czasie były pod panowaniem Saksonji, prawdopodobnie Hugo Kołłątaj miał na celu wprowadzenie pewnej łączności między Polską a Łużycami przez wspólnego monarchę. Na kongresie wiedeńskim Dolne Łużyce odstąpiono Prusom. Górne zaś Saksonji. Taki stan rzeczy przetrwał do dziś dnia. Cały wiek XIX to wiek największego ucisku Łużyc, ale zarazem wiek budzenia się myśli narodowej i walki o prawa. Ruch wiosny narodów dał Górno-Łużyczanom pewne prawa wolnościowe w zakresie używania ojczystego języka w szkolnictwie. W pruskich Łużycach stosowano natomiast politykę taką samą jaką do Polaków w Poznańskiem. Traktat wersalski zapomniał o Łużycach, którym się należała conajmniej autonomja. W dobie dzisiejszej Niemcy nie dają Łużyczanom swobody rozwoju kulturalnego i nie uważają ich za mniejszość narodową, gdyż niemiłem jest dla nich, że Łużyczanie to prawni posiadacze, zabranej przemocą ziemi słowiańskiej. Łużyczan jest 180.000. Przeważającą religją jest ewangelicyzm (80%). Istnieją w Łużycach dwa języki literackie: górnołużycki, zbliżony bardziej do czeskiego — i dolno-łużycki, przypominający język polski. Język górno-łużycki przeważa w życiu kulturalnem.



Jako początek literatury łużyckiej możemy uważać pojawienie się w 1548 r. przekładu katechizmu przez M. Jakubicę. W XVII w. pisano książki o charakterze religijnym. Podobnie literatura XVIII wieku posiada charakter religijny i stanowi przeszkodę germanizacji. To też Fryderyk Wielki zabraniał księżom łużyckim wygłaszania kazań w języku ojczystym. Pierwszym większym poetą był Andrzej Zeyler (1804—1872). Pisał on przeważnie pieśni liryczne, budząc niemi świadomość narodową swych rodaków. W dolnych Łużycach rozwija się literatura mimo ciężkich warunków. Literaturą łużycką zainteresowali się Czesi, mianowicie Czerny założył w Pradze towarzystwo czesko-łużyckie, które ma na celu zbliżenie się kulturalne. Z Polaków, Parczewski wydał dolno-łużyckie pisma i dał bodźca do założenia towarzystwa literackiego „Wotszed Masice Serskcje“. C. d. n.

ECHA ŚWIĄTECZNE

Ojciec św., przyjmując życzenia od Kardynałów, miał dłuższe przemówienie, w którem zaznaczył, że wobec wzburzenia świata całego, gdy kryzys finansowy przed oczy stawia tak niepewną przyszłość, gdy rozdwojenie opozycyjnie nastawia na to wszystko, co nas otacza, nie może ludzkość biedna znaleźć oparcia u podstaw własnych.

Zatem, zapytuje Ojciec św., co mają robić ci, którym dobro całej rodziny ludzkiej leży przedewszystkiem na sercu? Ci, którzy pragną spokoju, jedności narodów — Co mają czynić Ci, którzy o wypadkach sądzić mogą dopiero po ich przebiegu, po konkluzji tego, co zaszło lub nie zmieniło się? Otóż wszystkim tym pozostaje obowiązek modlić się — powtóre muszą modlić się, po trzecie, modlić się.

W Warszawie na Zamku J. E. Nuncjusz Marmaggi w obecności korpusu dyplomatycznego złożył życzenia Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej. Pan Prezydent z Panami Ministrami i P. Premierem przed otwarciem audjencji wysłuchał Mszy św. w kaplicy zamkowej. W mowie X. Nuncjusz podkreślił tę wielką tęsknotę do jedynego celu odbudowy świata, która jest hamowana smutnem dziedzictwem przechodzącem z roku na rok, jakiem jest kwestja wojny i kryzysu. Coraz silniejsze i z głębi ducha pochodzące, odzywają się głosy potępiające militaryzm i agresję. Czemu nie wierzyć, że ten stan duchowy jest zapowiedzią zgody. „Miło nam jest stwierdzić, Panie Prezydencie, że w całej tej pracy kraj Pański nie był nieobecny — bo Polska brała liczny czynny udział w całej tej pracy w ciągu 15-tu lat niepodległości.“ Pan Prezydent w odpowiedzi wyraził swe zadowolenie, że J. E. Ks. Nuncjusz ocenia działalność Polski, zmierzającą ku wyrównaniu różnic dzielących narody. Tę ciężką, codzienną pracę Polska prowadzi wytrwale w pełnej świadomości obowiązków, jakie nakłada na nią jej misja dziejowa i jej odpowiedzialność wobec całej ludzkości. Prowadzi ona ją w nadziei, że potęgą swą twórczą przyczyni się do umocnienia uczucia bezpieczeństwa i pragnienia pokoju, najpewniejszych rękojmi odprężenia moralnego i politycznego...

Mam mocne przekonanie, że z pomocą Wszechmogącego, zostanie osiągnięty wspólny ideał wszystkich, którzy zostali powołani do kierowania losem ludzkości. Może być on osiągnięty tylko przez wysiłek wszystkich narodów...

J. E. Ks. Prymas Hlond przemówił w Wigilję przez radjo, podkreślając obowiązek dzielenia się opłatkiem z „życzeniami na ustach i życzliwością w duszy“. Wspomina o kolędach rozbrzmiewających tam wszędzie, gdzie serce polskie bije, czy to w centrum kraju — czy na pograniczu u czujnej straży — czy na obczyźnie. Dalej mówi Najprzewielebniejszy Arcypasterz „Chrystus stał się pierwiastkiem dziejowym, którego w budowie świata bezkarnie pomijać nie wolno. Wszczepiony w życie ludów kształtuje ich kulturę i losy jako twórczy czynnik rozwoju i szczęścia. Kto Go świadomie odpycha, powoduje z nieuniknioną fatalnością katastrofalne załomy“. Następnie życzeniami swemi obejmuje nasz Ukochany Prymas polski wszystkich, zaczynając od biednych — bezdomnych, złamanych, dalej przechodzi do środowisk rodzinnych, do władz kościelnych, do piastunów władz narodu. „Państwu polskiemu niech da Boże Dziecię pełne zrozumienie jego posłannictw i niech 'drogami Swego prawa prowadzi do pomyślności i niezwyciężonej potęgi“.

Kończy Swe przemówienie Eminencja słowami: „Z wolą do pełni życia i do wielkości staje naród polski przed światowładną Dzieciną. Z wiarą szczęśliwych i umęczonych pokoleń składa Jej hołd i zaprzysięga wierność. A na daleką drogę swego bytu prosi o pokój i błogosławieństwo, bo ku Swoim wielkim przeznaczeniom, chce pójść ufny i zdecydowany — jako naród dobrej woli“.



Zakopane — K. Kłosowski

WŚRÓD KSIĄŻEK

Janina Rozciszewska „Panieneczka" *(Gebetner)*

Jedenastoletnia Jadzia zaczyna pisać dziennik. Powierza mu swoje troski i nadzieje, opowiada zmartwienia i bóle, bo rzeczywiście nie ma ich komu powiedzieć. Ojciec jej umarł. Matka wyjechała za granicę, gdzie powtórnie wyszła zamąż. Jadzia wychowuje się u ciotki. Ciotka dobra jest dla niej i poczciwa, ale jednak to Zalesie, na dalekich wschodnich położone kresach, nie jest jej domem, rodziną, która ją przygarnęła.

Gdy trochę przywykła do nowego życia i otoczenia — rozpętuje się nad jej życiem, jak i nad całym światem tamtejszym, straszliwa burza rosyjskiej rewolucji. Bolszewicy plądrują domy i dwory, nie jest się pewnym ani mienia, ani życia. Przez biedną polską ziemię przetaczają się kolejno wojska rosyjskie, niemieckie, bolszewickie. Rodzina Jadzi straszne przechodzi chwile. Śmierć zagląda wszystkim w oczy. Jadzia jest energiczną, dzielną panienką. Ma już teraz lat 15. Po różnych przejściach barwnie w dzienniczku opisanych, dostaje się do majątku matki i ojczyma pod Wilnem. Tu jest jej źle, źle w rodzinie, która już właściwie jej rodziną nie jest. Chwile jasne i spokojne przeżywa w pensjonacie w Wilnie. Ale burza wojenna znów ją wyrzuca w świat daleki. Z całemi tłumami t. zw. „bieżeńców" pędzi Jadzia dobytek rodziny aż do Warszawy. Widząc dokoła siebie nieszczęścia i cierpienia, widząc ludzką złość i podłość, widząc rodziny rozbite rozwodami, traci ufność do życia, szczęścia i miłości. Chce już tylko pracować, pracować dla kraju, dla ukochanej, odzyskanej Ojczyzny. Zostaje sanitarjuszką. Wśród gradu kul, na polach bitew opatruje rannych, niesie pomoc cierpiącym, otuchę i odwagę wątpiącym i słabym. Pielęgnując chorych na tyfus, sama się zaraża. Ale zakończenie książki każe nam się domyślać, że wyzdrowieje i znajdzie wkońcu szczęście u boku pięknego ułana, Jerzego, że jego szlachetna miłość przywróci jej wiarę w życie i ludzi.

To krótkie streszczenie nie daje oczywiście pojęcia o całej powieści, pełnej ciekawych, wzruszających perypetyj, a także charakterystycznych i interesujących szczegółów historycznych.

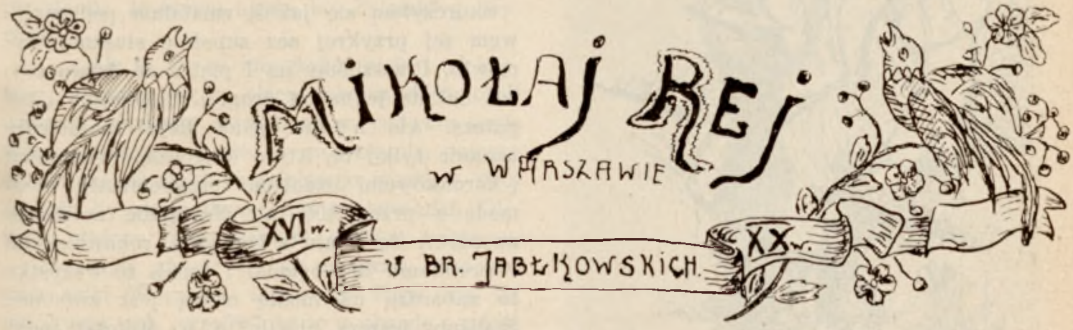
Aleksander Szczepański. Drapacze i śmietniki.

Choć żyjemy w epoce łatwej komunikacji, w epoce radja, telegramów, w epoce gazet roznoszących wiadomości wszystkim o wszystkich, jednak stosunkowo mało znamy życie krajów dalekich, a raczej znamy je niedokładnie. Nawet o tej Ameryce, o której mówi i czyta się dużo, wiemy właściwie niewiele. Przekonałam się o tem, czytając „Drapacze i śmietniki". Przyznam, że zabierałam się do nich niechętnie, myśląc w głębi duszy, że nic nowego tam się nie dowiem. Tymczasem od pierwszych zaraz stron zostałam zafascynowana. Rysowała się przede mną Ameryka nowa, nieznana, nieprzeczuwana, a tak bardzo ciekawa. Jej krajobraz, miasta, ludzie, zwyczaje, sposób życia, a przedewszystkiem życie olbrzymiej polskiej emigracji amerykańskiej, życie tych setek tysięcy Polaków na całej olbrzymiej przestrzeni Stanów Zjednoczonych rozsianych. Autor, który był polskim konsulem w Chicago, zna te stosunki dokładnie. Oprowadza nas kolejno po polskich dzielnicach w Chicago i Nowym Yorku, po polskich fermach, wsiach i miasteczkach, ukazuje nam w Stanach południowych polskich plantatorów bawełny, ukazuje jednem słowem całe bujne, bogate życie, o którem naprawdę nie mieliśmy pojęcia. A czyni to w sposób tak prosty, i przystępny, że opisy jego czytamy jak najbardziej zajmującą powieść. W ostatnim rozdziale autor zbiera wszystkie swoje amerykańskie wrażenia i obserwacje, i w sposób bardzo inteligentny, wysnuwa z nich wnioski ogólne, dając rodzaj charakterystyki całego amerykańskiego życia, mentalności i kultury, wykazując, czem różni się ona od kultury europejskiej. Uwagi te rzucają dużo światła na całą kwestję t. zw. amerykanizmu, t. zn. tej kultury, tego rozwoju i tych kierunków, które dzisiaj coraz bardziej naszym starym sposobom europejskiego myślenia się przeciwstawiają. A ponieważ kwestja ta jest niezmiernie ciekawa, więc myślę, że nietylko z pożytkiem, ale i z wielkiem zainteresowaniem książkę Szczepańskiego przeczytać można.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

JUTRO

DZIAŁ SAMODZIELNIE PRZEZ MŁODZIEŻ REDAGOWANY



W moim niebieskim, dziecinnym pokoju nad biureczkiem w gronie wielu portrecików i fotografij znajduje się również mały portret epokowego pisarza, Mikołaja Reja z Nagłowic.

Siedziałam przy biurku i z oczami utkwionemi w ten portret powtarzałam uparcie już coś od 10-ciu minut: „Protinus excolimur teneri, curaque parentis“...

Z kąta wypełznął szary mrok... ostatni promień zachodzącego słońca z jakąś rozpaczliwą pasją przebił czerwienią ostrego promienia, mrocznego rywala... i zgasł.

* * *

P. Rej chrząknął, poprawił biretu, zaszeleścił zwojem nieodstępnego pergaminu i rzekł: „Złóż ano panna one piśmidła — czyście się dzieciątko paciorka i łacińskich słów igrając barzo snadnie nauczyć może, niźli ciągle siedząc, a ślęcząc nad onymi.

— Panie Reju, a może pójdziemy na miasto co oglądnąć — może nasze nowe gimnazjum?

— Tako słyszałem, co on mdły naród „pulchram scholam“ wystawił.

— A możebyśmy tak jaki sklep ze strojami oglądnęli? (ze zgrozą patrzyłam na wypłowiały aksamitny beret, na długą suknię z rękawami bufiastemi).

— Takąć i ja mam rozkosz, aby one szatki białogłowskie obaczyć!

Stanęło na tem, że jedziemy do Warszawy, do braci Jabłkowskich, oglądać magazyn z damskiemi ubiorami. Coprawda, to zupełnie nie wiem, dlaczego właściwie p. Rejowi zechciało się gwałtem oglądać magazyn o dziale damskim, a nie męskim? Ten „poćciwy ślachcic“ i dzisiejsze bolerka, ryszki, rękawy reglanowe. — Wybitny feminista! — Teraz najtrudnejsza sprawa, jaki wybrać środek lokomocji? Samolotem, byłoby najszybciej. Ale p. Rej i samolot. Naprawdę, śmiechu warte. Pozostaje zatem tylko pociąg. Myślę, że żadnej chryji nie będzie. Zresztą — można okna i drzwi zabezpieczyć. A na wypadek, gdyby go mdłość zdjęła, wezmę limonię i bujankę z marcepanem... Wyjeżdżamy... na stacji fotografuje nas coś trzech foto-amatorów I. K. C. Z całą pewnością jutro ukaże się





nadzwyczajne wydanie po 10 gr. z szumnym tytułem nad fotografją „Epokowy pisarz M. Rej w towarzystwie urszulanki w stylu odrodzenia".

Po sześciu godz. jazdy, jesteśmy w Warszawie. Rej przygląda się kształtom wielkich domów i dziwuje się... u nas w Polsce..., Idziemy wkońcu do owego sławetnego magazynu. P. Mikołaj Rej decyduje się wyjechać na II p. windą. Jestem w strachu — a nuż dostanie ataku apoplekptycznego! Siada z nami młody garçon (który ma nam wskazywać, co gdzie można nabyć) i puszcza w ruch windę. P. Mikołaj siedzi z zlekka pobladłą twarzą, i trzyma się kurczowo krajów ławki. Winda staje! P. Rej wychodzi i pierwsze — dzieli się ze mną wrażeniami onej wdzięcznej przejażdżki „Z pirwotku to mnie, aże gębę zakrzywiło, coby skrzyknąć: zastawić! ano późni, jakem poznoł, co żadnego niebeśpieczeństwa w tem niema, ono nicem nie godoł, inom-ć czekał rychło-li zasię zastawią".

II p. na prawo kostjumy kąpielowe! Idziemy. — Na kontuarach stosy kolorowych kostjumów. Pokazują nam jeden — to co najmodniejsze! dekolt z przodu i z tyłu do pasa. Rej ogląda.. patrzy... kiwa głową, głaska wąsa, aż wreszcie mówi:

Wszędy trzeba z pomiarem, a z cnotą czynić".

Skurczyłam się jakoś, zmalałam pod wpływem tej przykrej acz zupełnie słusznej wymówki. Przeszliśmy na I piętro do działu toalet. Suknie jedna od drugiej piękniejsze i bogatsze. Ale u imć. pana Reja znajdowały uznanie tylko te, które długością, futrzanemi i koronkowemi ozdobami przypominały nieco modę z przed 400 lat. Następnie zeszliśmy na parter do działu z bucikami, rękawiczkami i torebkami. Rej oglądał i uznał, że wszystko to zabardzo na modłę cudzą jest zrobione. Staliśmy jeszcze chwilę, a p. Mikołaj przypatrował się kupującym niewiastkom i dzieweczkom, a .wkońcu rzekł: „Oj, nie może być w onej Rzeczypospolitej dobrze, kiedy one niewiastki tako snadnie umysły mają upstrzone ino pstremi kabatki i inemi świecidełki, potrzebnemi ino-ć na poskoczki.

Pod wpływem takiego zarzutu skoczyłam jak oparzona, chcąc solidarnie bronić onego nieszczęsnego mdłego narodu. Z wielkiego zapału uderzyłam się o coś wcale porządnie. Otwieram oczy szeroko... szeroko... ciemno. Mały budzik zawzięcie wybija godz. 7-mą. Światło zapalonej lampy rozdarło bezwzględnie ciemne mroki i jasno oświetliło postać M. Reja z nieodstępnym zwojem pergaminu.

Tak, tak p. Reju, złóż broń, jesteś pokonany. Teraz jest wiek XX-ty, wiek równouprawnienia, a pirwotku kobiety były tylko służebnicami w domu własnego męża, czy rodziców...

...Zegar swojemi miarowemi uderzeniami przypomina upływające godziny. Godziny, dnie, miesiące i lata lecą, a z niemi idą ciągłą falą cudownego rozwoju nauki i wiedzy — kultura i odkrycia.

Jedynie Wisła swoje wody cicho toczy po piasku „jak z pirwotku", Mikołaju Reju!

Maryla Dziekanowska.
ucz. kl. VI gim. SS. Urszulanek.

SPORT ZIMOWY

. . . Pociągi, dancing-bridż-narty, torpedy, ekspressy!... Wiwat góry, wiwat śnieg, wiwat Zakopane!

Szkoda tylko, że gór nie widać, bo je mgła przysłoniła, że śniegu niema, bo „halniak" go wymiótł.

. . . Ale to nic — mieszkańcy nizin i tak używają; wpatrują się z okien zakopiańskich lokali (pełnych górskiego powietrza), w cudowną mgłę osłaniającą szczyty i stoki, by poprzez nią, poprzez oszronione smreki dojrzeć śpiącego rycerza — stróża Tatr, by ujrzeć znany tylko z opowiadań Giewont, otulony czarodziejskim puchem śnieżnym.

Zapaleńcy „desek" też nie narzekają; zlodowaciałe stoki Wilcznika, Lipek czy Regli roją się mnóstwem tych „ceprów", co to w obawie o całość nóg, rąk i głowy, zapomnieli o swych codziennych kłopotach i troskach i entuzjazmują się nartami, ruchem, życiem i wogóle... wogóle wszystkiem... Szkoda tylko, że śnieg w tym roku jest taki twardy, że nie można go znaczyć kropkami i innemi esami — a nawet wprost przeciwnie, on sam znaczy na własnych miłośnikach ślady w formie stłuczonego noska, rączki czy kolanka. Lecz czegóż się nie robi dla — siebie?





Od czasu do czasu poprzez rozbawione gromady i gromadki przemknie zwinny i zgrabny Marusarz, Czech, czy Krzeptowski, wzbudzając podziw a zarazem zazdrość, że się nie potrafi być tak szybkim, tak silnym, jak oni, że się nie potrafi pruć w zawrotnem tempie stoków górskich, że się nie potrafi latać ponad świerkami i jodłami, a potem żyć radośnie, odważnie i wesoło. — Tak to prawda, oni śmiać się mogą całą piersią, całą duszą, bo zakosztowali rozkoszy pędu, bo świstało im w uszach, gdy skakali ponad głowami zapatrzonych „mieszczuchów", bo wzbudzali swemi ewolucjami tumany pyłu śnieżnego a potem odpoczywając w górskich, zbójnickie czasy pamiętających, szałasach, patrzyli poprzez oszronione szybki i sople lodu na roje gwiazd, na zaspane w szafirowym śniegu szczyty i przełęcze, na pogodny księżyc, który mówił im, że są . . . . . odważni.

. . . Lecz prawdziwy narciarz (człowiek czynu!) długo nie rozmyśla, wali znów na górkę, by popróbować kristjaji i telemarków, by nabrać wiary w swe siły miniaturowego Marusarza . . .

. . . A samo Zakopane? Ulice pełne dzwonków, gwaru, życia; spódnic nie widać zupełnie i tylko długie, utlenione loki i zbyt różowe usta mówią, że w Zakopanem jest także płeć piękna . . .



Czy jeszcze jest coś zasługującego na uwagę? Może niezupełnie, ale w każdym razie troszkę: wyjątkowo liczny zjazd tych, których po esperancku zowią Kohnami, tych prastarych Polaków z krwi i... nosa. (W wolnej Polsce wszystko można byle zwolna i zostrożna!)

...Jest jeszcze jeden wielki minus, bynajmniej nie Zakopanego, a nawet nie można dokładnie określić czyj? — w każdym razie jest: za „szybko mijają chwile"...

... Przed oczyma staje znów widmo książki, „niespodziewanych rozczarowań, niesprawiedliwości", ale to nic w porównaniu ze śniegiem, nawet z nadzieją, która szepcze: przyszłe święta Bożego Narodzenia napewno znów na śniegu zakopiańskim!

K. Fiszerówna, ucz. gim. SS. Ursz.

SZLAKIEM „GWIAZDEK" DLA BIEDNYCH.

Pomimo kryzysu przeszedł dobry Anioł gwiazdkowy poprzez nasze szkoły, by pomimo ciężkich czasów urządzić „Gwiazdkę" dla najbiedniejszych.

Szkoła SS. Urszulanek w Poznaniu. „Już od paru tygodni Komitet Rodzicielski zabiega o fundusze; skupuje materjały — w klasach na godzinach robót i na zbiórkach popołudniowych, szycie sukienek. — Im bliżej uroczystości, tem potężnieje zapał — ofiarność się zwiększa. Panie z Komitetu w te największe mrozy 26-cio stopniowe nie przerywają swych wędrówek. — Jedne zbierają dary, inne odwiedzają najbiedniejszych na Sołaczu, Grudzieńcu, Urbanowie i Golęcinie.

Pada wieść, że z powodu kryzysu liczba zeszłorocznych biednych dzieci z 160 wzrosła do 326. ale musi się znaleźć ratunek! W dniu zapowiedzianym, spieszą te zastępy do ciepłych sal szkolnych. Tam dzieci same je goszczą — przyjmują — karmią i odziewają. Najszczęśliwsze szczęściem, które dać mogły tym najnieszczęśliwszym, najmniejszym.

LWÓW. — Gimnazjum Żeńskie SS. Urszulanek. św. Jacka 16. Tu świat szkolny koncentruje się głównie w świetnie zorganizowanem „Kółku Radości". — W ręku tych dziewczynek zcentralizowane są śniadania dla koleżanek — sklepik szkolny — antykwarnia — Sekcja higieny, apteczkę swą posiada — społeczna i charytatywna dba o koleżanki i o biedę największa w parafji św. Mikołaja.

Dzielna ta organizacja już przez cały rok myśli o gwiazdce dla biednych. Składy bucików, płaszczyków, sukienek, zwiększają się bez przerwy, a odpowiednia Sekcja do porządku doprowadza tę garderobę wyranżorowaną, ale jeszcze zdatną do użytku dla najbiedniejszych.

Wchodzi szkoła w porozumienie z parafją, która dostarcza spisu biednych rodzin. W dzień „Gwiazdki" od rana ruch niesamowity. — Dyrekcja daje specjalne pozwolenia. Dzieci znoszą kartofle, mleko, chleb, bo tradycja lwowska nakazuje ugościć biedaków, których zeszło się do 200 ciepłą wieczerzą — więc trzeba to przyrządzić, ugotować i podać. —

„Kółko Radości" liczące blisko 120 członkiń w myśl swego hasła, radość niesie. Każda biedna dziecinka odchodzi obdaro-



Patrz Jaśku jaka ładna, ciepła sukienka.

wana, a co ważniejsze, odziana i obuta. Co mogą serca dzieci, podziwiać tu możemy — niech żyje „Lwowskie Kółko Radości“ ze swoją kierowniczką Matką Gertrudą na czele!

KOŁOMYJA i tu nasza młodzież nie śpi — a choć jej ciężko, w Gimnazjum S. S. Urszulanek 70 dzieci zostało przyodziane w nowe sukienki, uszyte rękami uczenic ze Sodalicji Marjańskiej. Ponadto dużo innych darów dostały te najbiedniejsze w naszem biednem, dalekiem, kresowem mieście.

(Nie wiem ,czyby się nie dało rozwiązać gniotącą ludzkość problemu biednych, gdyby każda rodzina nietylko na gwiazdkę, ale przez cały rok zaopatrywała biedniejszą od siebie rodzinę w to co zbywa co bez uszczerpku dać można. — Dopisek redakcji).

KRAKÓW. Szkoła im. św. Urszuli, obmyśliła inne rozwiązanie „Gwiazdki“. Oto każda klasa osobno szyła odzienie — zbierała książki, zabawki, obrazki, prowianty. I w dniu imienin Przełożonej Zakładu, po złożeniu życzeń, „Aniołki“ z poszczególnych klas z choinkami w ręku prowadziły do dużej sali rekreacyjnej, gdzie każda klasa miała swe „skarby“ mozolną pracą zdobyte na osobnych stolach zebrane. Temi „skarbami“ obdarowane spore gromadki dzieci z ubogich Ochronek miejskich oraz z „Ośrodka Zdrowia“. — Dzieciarnia biedna może najszczęśliwsza w tym dniu radości wraca do swych biednych, szarych, chłodnych, izb, unosząc ze sobą wspomnienie dobroci dzieci dla dzieci. — Jedna z klas młodszych jako dar gwiazdkowy prócz choinki i łakoci złożyła kilkomiesięczne komorne rodzinie, którą się stale opiekuje.



OD REDAKCJI

Znam moc naszych abonentek — dużo podróżują po Polsce. Zbliżam się tu i ówdzie, do młodzieży. Możecie odtąd osobiście mi przedstawiać wasze desiderata. Bardzo zajmującą dyskusję przeprowadziłam już z uczenicami Gimnazjum S.S. Urszulanek we Lwowie, na temat ulepszeń i zmian, do wprowadzenia w piśmie.

Staram się nawiązać stosunki z komitetami różnych szkół, aby otrzymywać prace, do działu „Jutra“. W programie na przyszłość chce Komitet redakcyjny zwrócić szczególną uwagę na zagadnienia chwili obecnej, a więc: praca społeczna, sporty, sztuka, poezja najnowsza, życie organizacyj szkolnych, zagadnienia państwowe, etyczne, literackie, filozoficzne, regjonalne. Poruszać będziemy sprawy Misyj polskich Kościoła Kat. na całym świecie. A nadewszystko musimy się wczuć, wżyć i wmyśleć w tętno naszej młodej, niepodległej państwowości.

Dział szarad i zagadek chcemy ożywić i ten dział specjalnie polecamy twórczości młodych. Wychodzi obecnie kilka nowych pism dla młodzieży szkolnej. W każdem spotykamy się z licznemi, dodatniemi objawami — chcemy im dorównać w tem co dobrego mają — ale równocześnie chcemy uniknąć tego, co w nich spostrzegamy słabszego. Każda redakcja ma swoją ambicję, a i my ją mamy! Na was młodych składamy troskę o rozszerzenie abonamentu — dużo szkół niema „Dziś i Jutra” — inne sądzą, że ono jest uprzywilejowanem pismem niektórych tylko Zakładów. Tymczasem „Dziś i Jutro“ pragnie bardzo dostać się do wszystkich uczelni średnich, a także do najwyższej klasy szkoły powszechnej — i do szkół zawodowych przynajmniej w kilku egzemplarzach — do Czytelni Szkolnej, do Kółka Krajoznawczego, do Świetlicy harcerskiej.

„Dziś i Jutro“ chce przynieść ze sobą ten wiew

dzisiejszych potrzeb młodzieży i iść z jej postępem, aż do granic zakreślonych niewzruszonemi zasadami etyki prawdy i piękna.

Propaganda prenumeraty niech będzie w rękach młodzieży! Zwiększona ilość abonamentu skłoni redakcję do zmiany pisma na dwutygodnik, może się uda bez podwyższenia opłaty. Czyż ta myśl Wam nie odpowie? a realizacja jej w Waszych rękach!

Dział „Jutra“ rozszerzymy chętnie! Moc prac Waszych ma odtąd napływać — wiersze nowe, oryginalne, podniosłe — Opisy i feljetony — zawsze ładne fotografje dodane do opisów, czasem rysunek ręczny.

Redakcja bardzo będzie sobie ceniła Wasz rzeczowy sąd krytyczny. Dużo myśli nowych, śmiałych, Waszych. Tętno życia dzisiejszego w dobrych jego przejawach ma wypełnić szpalty „Jutra“.

Wszystko to co może się przyczynić do podniesienia kultury umysłu, ducha i serca młodych, ma stąd rozbrzmiewać jak z „fal radjowych“.

Czytelniczka — Czytelnik „Dziś i Jutra“ to elita młodego społeczeństwa — to pełnowartościowi obywatele Państwa i Kościoła.

Donosimy, że już wpłynęło do Redakcji zgłoszenie uformowanego Komitetu redakcyjnego z Lubelskiego Gimnazjum S. S. Urszulanek, w skład którego wchodzą: Przewodnicząca: Danuta Kowalewska — Sekretarka: Szkadubianka Irena — dział szarad: Jarmakowica Józefa — Artykuły humorystyczne: Babińska Halusia — Dział poetycki: Mukiewicz Janina, wszystkie z kl. VII. Stroną dekoracyjną: Sofiszczenko Irena, ucz. pedagogjum.

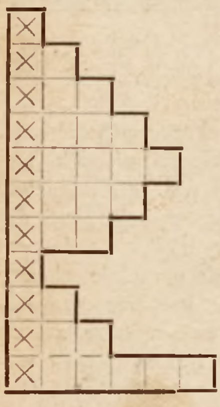
Łamigłówka zoologiczna.

U. T. K.

Z podanych sylab: bra, ow, tan, la, nik, grze, ar, an, ze, ca, o, ma, o, nik, ja, ty, ran, lar, cho, gu, bo, ku, pa, gu, ułożyć 8 wyrazów oznaczających nazwy zwierząt, tak, żeby pierwsze litery, czytane zgóry nadół, dały rozwiązanie.

Łamigłówka.

U. T. K.



Znaczenie wyrazów:

1) Spółgłoska, 2) Miara powierzchni ziemi (wspak), 3) Kwiat (wspak), 4) Półwysep w Ameryce północnej, 5) Imię zdrobniałe męskie, 6) Imię żeńskie, 7) Roślina, 8) Spółgłoska, 9) Zaimek, 10) Ptak (wspak), 11) Miasto w Polsce (wspak).

Rozwiązanie da rząd oznaczony.

KONKURS FOTOGRAFICZNY

Prosimy nadsyłać fotografje amatorskie w myśl ogłoszonego Konkursu w numerze z listopada b. r.

Przypominamy GŁOSOWANIE na najlepszy NUMER REGJONALNY od XII. 1932 do V. 1934.

TREŚĆ N-RU 5:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 7 ZŁ.

Numer pojedynczy 0·75 zł.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro“, Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie.